

STRUNY

*Jewdokii
młodziutkiej skrzypaczce
z Nowosybirska*

wchodząc na scenę
zamknęłaś oczy przed światłem
i przed grosikami oklasków
jakie sypnęli ludzie garściami
wróżąc ci sławę
i drogi dalekich wędrówek

stałaś
z odkrytym sercem skrzypiec
jak święta gęsiarka
z ikony

tak jak ty Jewdokio
przechodził przez sceny
puławskich pól
też na ugiętych kolanach
rodziciel zgrzebnych pieśni
Jan Pocek

z przymkniętymi oczami
śpiewak
z wargami drgającymi jak struny
Homer z lirą
przytuloną do zapadłych piersi

dokąd jeszcze
tutaj zostanę
zasłuchany w struny
i zapatrzony w rzeźby
waszych cieni

ŚWIATŁO

tak się nagle otworzyło
nocne niebo
kamień z groty
szaty białe
porzucone

czy to czyjeś
zmartwychwstanie było
czy powtórne narodzenie
moje

spada na mnie światło z góry
jak woda na młyńskie koło

ileż jeszcze spoglądania w niebo
ileż jeszcze przemielonych
ziarenek nadziei
na bochenek razowego
życia

ULICZNE SAFARI

wreszcie doszedłem do wydeptanych skrzyżowań
zatrzymały mnie ślepią lwa
pokazał zęby w kołyszącym kroku
i ogonem skinął na zielone wzgórza

mogłem teraz oglądać profil przemarszu
niezgrabne żyrafy
cienkonogie antylopy
kudłate bawoły
i trzęsące się brzuchy ohydnych słonic
tylko hieny ze spuszczonej ogonami
przemykały chytrze po manowcach

stałem zawstydzony ich
posłuszeństwem niezgrabnym
i wytrenowanym lękiem

URODZONY W MARCU

zaistniałem
między zimą a wiosną
nad brzegami wyczekiwania
kiedy coś obumierało
i coś zwiastowało
nową mgławicę

w zimnym jeszcze kanionie ciszy
na pierwszym schodku
podarowanej mi wieży Babel
ojciec zapewne błagał
o sprawność mięśni
obiecywał kolory ziemi
i głosy świata
w symfonii pastoralnej

lecz rozsypały się w chaos
nienumerowane kartki
dni dobrych i zmarnowanych
nie mogłem z nich złożyć
mądrygo kodeksu zadowolenia
i równowagi
jak na huśtawce
jedne dni
w górę wznosiły drugie

pogubiłem się chyba
w pojęciach czasu
bo nigdy nie budowałem składni
z języka Einsteina
zabrakło jakby
czasu teraźniejszego

W DRODZE Z ROMANOWA

idę jadę przystaję w zdziwieniach
niby pielgrzym zagubiony
niby dziad żebrzący
co duszę zostawia w tarninach

wypatruję śladów pozaprzyszłych wieków
zaklinam aby ożyły
wieka sezamów
na wyblakłych akwarelach z Romanowa

lecz ani piaski ani laski
nie chcą się wyrzec czasu teraźniejszego
trzymają się go bezpiecznie
jak ojca za rękę

poszedłbym drogą gdyby zmartwychwstała
poszedłbym ścieżką gdyby prowadziła
do tamtego źródła

poszedłbym najdłuższą z miedz
za owdowiałymi gruszami
aż po horyzont z kurhanem

odczytać cyrylicą zapisaną
brodatą modlitwę za zmarłych

WOŁANIE DO SARTRE'A

i odszedłeś Jean Paul
do najcichszego pokoju
czytać
(wiecznie czytać?!)
niosąc w ręku okulary
i otwartą księgę
bytu

jak się obchodzi
Jean Paul
z ludzkiego losu

już się rozwija embrion
XXI wieku
boję się tego podrzutka
z kosmosu

a jeśli nakaże mi żyć
narcyzem
dębem spod Puław
pajacykiem Pinokio

halo Simone
otwórz drzwi Jean Paul
powiedz
dopokąd zostaje się człowiekiem

ZA BRZEGAMI RAJU

stygnie
wypędzone z raju
nagie ciało lata
z ramion spadły węże
i czerwone jabłka

zimno
dni w popłochu
upierzone w dzikie kaczki
nikną z horyzontu

na morzu jesieni
rozpacz
ramionami wioseł
Odyseusze
w pośpiechu do mnie
jak przypływy

a ja
próbuję już tylko ratować
oszałałe włosy
i ster
jeszcze milczącego
krzyku

ZAGŁADA WENEDÓW

las bez duchów
i matecznika
został już na uboczu
dziejów

depczą po nim
zbieracze
spowszechniali zwycięzcy
tajemnic

a ten
który przed laty
zjął piorun z nieba
leży teraz olbrzymem
próchna
bez płomienia modlitwy
i śpiewu harfiarzy
nie spotkam was
tutaj
wszyscy moi zmarli
Wenedowie

Boga też uprowadzili
do wielkich miast
na kamieniste wzgórza

drzwi do nieba
gotowi wyważyć hurmem
i usiąść
na tronach

ZARAZ POWRÓCIMY

stacja w Zwierzyńcu
zielona przychodnia chandry
z zapachem tataraku
pod ścianami ławy cierpliwych
bo słońce w milczeniu złote
przypomina powagą odwiecznego
godła

ludzie nabrali pacierzy w usta
a palce zamknęli w dłoniach
jak ślimacze rogi

na szczęście dwie proste
długonogie nadzieje
trzymając się za ręce
biegną już po torach

dyżurny zdejmie
powieszoną czapkę na czekaniu
i zaraz ruszy
winda pociągu

powrócimy do swoich
galaktyk
milczących jak wieżowce

ZASUSZONE CIENIE

po twojej śmierci
wieś przykryła się
wiekiem
stoją nadal domy
ale w zimnych dłoniach kominów
dawno ucichły salwy
do nieba

przez szyby widać
znajome dusze
zasuszone w cienie
klęczą
przy niewidzialnej trumnie
pustki

przybliżam tutaj jeszcze
z ciepłymi obłokami
niby wylękniony bocian
lecz nie masz
już powitań
jak niegdyś
u Chełmońskiego

Z OTWARTĄ PAZUCHĄ

na moim polu
nie ma już rozplomienionych
ogrodów Jahwe
ani kuszącego
karminu
jabłek

pozbierane ziarna
przeorane ślady

niebo zabrało
w chmury
wypłowiąły rydwan
i włosy
dojrzałych rodziców

boję się poruszyć
by nie zniknąć
z krajobrazu
z otwartą pazuchą
wypatruję gołębia
z oliwnym listkiem

ZDZIWIENIE I NADZIEJA

brzozo krzywa
cierpliwa opiekunko schorowanego jałowca
na skraju mojego lasu
czemu zgodziłaś się zostać
drzewem jesieni
rozwichrzoną i nagą
kochanką listopada

świętowie
odwrócili głowy
sfrasowani

żegnam cię
na czas jesiennych lęków
i porę zesłania
do miejskich zimowisk

może nas Bóg jeszcze ocali
tej zimy

POZWÓL MI JESZCZE

jeszcze nie teraz
Panie Boże
nie teraz

pozwól mi
smutnieć
murszejącym krzyżem
na odludziu

a kiedy runę
przemień cudem
jak przedtem
dziada mego
i ojca
w kruszynę
czarnoziemiu

One